

Małe miejscowości mają swoje wielkie tajemnice
Podkomisarz Krauze rozpoczyna śledztwo

HUBERT HENDER

MILCZENIE



BUKOWY LAS

1

Dokładnie o piątej dziesięć podkomisarz Filip Krauze zaparkował zabytkowego jaguara na podmokłej łące w pobliżu lasu. Jaskrawa czerwień lakieru wyglądała w ciemności jak wyschnięta krew. Trzasnął drzwiami. Tuż obok stał samochód prokuratora z Kłodzka. Krauze dostrzegł też sportową hondę kolegi z wydziału kryminalnego, Igora Fijałkowskiego. Znali się ponad dwadzieścia lat i byli najlepszymi przyjaciółmi. Przez całe dorosłe życie szli ramię w ramię – najpierw łączyło ich burzliwe dorastanie, potem szkoła policyjna i wreszcie wspólna praca. Spędzali ze sobą dużo czasu, bo pracowali razem przy prawie każdym śledztwie, spotykali się też prywatnie niemal w każdy weekend. Ich żony też się bardzo lubiły, choć ostatnio ta znajomość opierała się głównie na rozmowach przez telefon, bo Ola, żona Filipa, od niedawna prowadziła własną firmę i poświęcała jej mnóstwo energii. Igor został nawet ojcem chrzestnym Marcela, syna Krauzego.

Honda jak zwykle była obita. Igor z dużą trudnością trafiał do garażu, jakby ten prosty manewr przekraczał jego umiejętności – a mimo to od lat chwalił się na komendzie, że jest królem szos i że nikt nie jeździ tak dobrze jak on.

W oddali migał przekaźnik telefonii komórkowej. Znajdował się kilka kilometrów stąd. Podkomisarz wyciągnął sesamka

i ugryzł go łapczywie. Popatrzył na zegarek, ale na wszelki wypadek sprawdził również godzinę w telefonie. Co dwie osie czasu, to nie jedna. Piąta jedenaste. Zastanawiał się, dokąd pójść, lecz niemal w tej samej chwili usłyszał kroki. Poświecił latarką porozumiewawczo.

– Już myślałem, że się nie doczekamy – odezwał się Igor. Miał na sobie wojskowe ubranie, buty do pracy w podmokłym terenie oraz ciemną czapkę z daszkiem. Przywitali się silnym uściskiem dłoni.

– Wyjaśnij mi, z jakiego powodu musiałem się zrywać w nocy? Wiesz, że normalni ludzie śpią o tej porze? Ja się do takich zaliczam. Wprawdzie nie mam psa, nie jeżdżę w niedzielę na działkę i nie mam na ścianie Jana Pawła II ani ceraty pod telewizorem. Ale resztę wymogów spełniam i dbam o to, by ludzie uważali mnie za normalnego człowieka – rzucił podkomisarz, przeczesując włosy na lewą stronę. Cesał się jak Brad Pitt w filmie *Furia*. Zapuszczona góra i starannie wygolone boki. Krauze jak zwykle był ubrany w bluzę sportową z logo amerykańskiej drużyny koszykówki.

– Nie pierdol, Filip. Niech ci wystarczy, że nie umiałem opowiedzieć ci tego przez telefon. To jakaś cholerna, wręcz popierdolona farsa. Sam zobaczysz – powiedział Igor i wskazał dłonią, dokąd mają iść. Krauze wyrzucił papierek po sezamku, a potem ruszył podmokłą łąką za kolegą. Oświetlali sobie drogę mocnymi latarkami. Ich sylwetki rzucały długie cienie. Parę minut później weszli do lasu. Czuć było wilgoć po zalegającym śniegu oraz zapach gnijących liści. Gdzieś tam dostrzegali nieroztopiony śnieg, który uchował się w zagłębieniach. Minęła połowa marca i wiele wskazywało na to, że tegoroczna zima już za nimi. Niskie temperatury utrzymywały się dosłownie przez kilka dni i wynosiły niewiele ponad dziesięć stopni poniżej zera. To było i tak za ciepło jak na gust Krauzego. Zima powinna być mroźna, powinna

wykręcać ludziom palce, mrozić nos, sklejać powieki i sprawiać, że człowiek wciąż na nowo odkrywa urok zmian pór roku. Powoli już zaczynał tęsknić za promieniami słońca. Uznawał to za naturalne wyrównywanie rachunków przez naturę, które powinno się odbywać cyklicznie, bez przerw i bez zacierania się granic między porami roku. Równowaga. Ona była najważniejsza.

Po kilku minutach marszu dotarli do urwiska. Filip był już trochę zdyszany.

– Złap się tutaj. – Igor wskazał przyjacielowi gałąź, oświetlając ją, po czym ostrożnie zeszli stromym spadem.

Krauze popatrzył do góry. Czarne niebo robiło się granatowe, choć miał wrażenie, że potężne drzewa i tak odcinają rozrośniętymi gałęziami dostęp do światła, jakby były mitycznymi potworami, które powrastały w to miejsce i nie pozwalały nikomu dostać się do środka. Świat mroku. Jakby wszystko i wszyscy byli tu niemile widziani. Zamknięty świat dzikiej natury. Nawet światło nie miało tu wstępu.

Usłyszał odgłos strumienia, który spływał gdzieś nieopodal pomiędzy wzniesieniami. Ocknął się i ruszył za Igorem, który skręcił na płaski szlak o dwóch głębokich wyżłobieniach. Musiały tędy jeździć mocarne maszyny z napędem na cztery koła.

– Cholera, mamy tu drogę, a ty kazałeś mi iść przez las? Nie mogliśmy po prostu tutaj przyjechać? Albo chociaż dojść na miejsce jak cywilizowani ludzie?

Igor nie przejął się jego słowami.

– Szedłem nią – powiedział spokojnie. – Tym skrótem jest o wiele szybciej. Droga okrąży wzniesienie i zeszłoby nam znacznie dłużej. Wiem, co mówię, tkwimy tu wszyscy od kilku godzin.

– Nie wierzę ci. Nie wierzy się człowiekowi, który budzi cię w środku nocy i każe przyjeżdżać do pieprzonej dżungli. Kiedy wreszcie dojdziemy? – zapytał, bo nawet solidny snop światła nie był w stanie przedrzeć się przez gęstą ciemność.

– Jeszcze kawałek. Marudzisz jak stary zręda.

Zeszli kolejnym skosem, potem minęli zakręt. Podkomisarz dostrzegł w oddali kilka osób, krzątających się na tle migoczących świateł.

– Nie zauważyłem przed lasem auta techników – odezwał się.

– Tokarz powiedział, że się spóźni – wyjaśnił Igor. – Wyjechał na weekend z żoną, więc gna z Katowic. Słyszałem przez telefon, że jest wkurwiony. Co tu dużo mówić, schrzaniiliśmy mu weekend.

Krauzego w ogóle to nie interesowało. Każda sprawa chrzała komuś dzień lub noc.

Chwilę później dotarli na miejsce. Podszedł do nich mężczyzna o posiwiałych włosach.

– Cieszę się, że jesteś – powiedział jeden z dwóch kłodzkich prokuratorów okręgowych, Jerzy Sokołowski. Miał jakieś sześćdziesiąt lat i wyglądał jak emerytowany profesor fizyki z elitarnego angielskiego uniwersytetu. Pod wymiętą marynarką zawsze nosił koszulę w kratkę. Dziś brakowało tylko muchy, ale, jak się domyślił Krauze, jego również wyrwano z łóżka.

– Dowiem się wreszcie, o co tu chodzi? Męczą mnie już te niedopowiedzenia – mruknął.

Sokołowski nie odpowiedział od razu. Sprawiał wrażenie, jakby chciał odwlec w czasie przekazanie mu informacji. Zrobił tylko kwaśną minę. Być może czekał, aż ktoś go wyręczy. Ale tak się nie stało. W końcu rzekł wymijająco:

– Chujnia z bryndzą, krótko mówiąc. Spójrz, Filip, na tamtych policjantów. – Wskazał na oddalonych nieco ludzi. Ich sylwetki były oświetlone punktowo światłem latarek. Funkcjonariusze mieli takie miny, jakby przed momentem dowiedzieli się o śmierci bliskich im osób. – To, co znaleźliśmy, wygląda na naprawę parszywie. Dawno nie widziałem czegoś równie popierdolonego, a wydawało mi się, że widziałem już wszystko.

– Dobra, skończcie się użalać nad sobą, bo mam dość. Albo mówicie, co się dzieje, albo wracam do wyra spać. Jest niedziela, mam ochotę z tego skorzystać.

– Myślałem – zaczął prokurator, jakby nie dosłyszał, co powiedział kolega – że odejdę na emeryturę w poczuciu dobrze wykonanej roboty, nie doświadczając takiego okrucieństwa. A tu wszystko jebło. Dziś w nocy. I to jeszcze w weekend. Chociaż... – Machnął ręką, dając znać, że niepotrzebnie filozofuje.

Krauze odwrócił się i zobaczył, że Igor został w tyle. Przyśiadł na dużym kamieniu i gapił się przed siebie. Filip odniósł wrażenie, że ponury nastrój zaatakował wszystkich zebranych jak groźny wirus. Paraliżował stopniowo, a człowiek nawet nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Możesz mi powiedzieć, coście znaleźli? Czy będziecie mnie trzymać tutaj jak uczestnika pieprzonego teleturnieju, żebym zgadywał, robiąc z siebie kretyna?

Sokołowski stał niewzruszony. Słowa Filipa nie robiły na nim wrażenia.

– Chodź – nakazał po chwili. – Czas już to ruszyć, czekaliśmy tylko na ciebie.

Dotarli do przeciwnego wzniesienia. Przed nimi znajdowała się killkunastometrowa stroma skarpa, podobna do tej, z której niedawno schodzili. Trzymając się krzaków, wspinali się po wzniesieniu. Potem szli już po dość równym terenie, na którym leżało bardzo dużo gałęzi. Kilka razy musieli przeskoczyć powalone drzewa. Chyba ścięto je niedawno, bo w powietrzu unosił się jeszcze zapach drewna oraz oleju napędowego. Wokół było mnóstwo trocin. Minęli drzewa, a potem Sokołowski zatrzymał się i wskazał coś ręką. W ciemności i tak niewiele było widać. Prokurator ustawił strumień światła.

– Popatrz tam. – Poświecił na jedno drzewo. Wielkie, niemal nieskończenie wysokie. Nie widać było wierzchołka, nikał

w ciemności. Kolejny strażnik czarnego świata natury. Krauze poczuł się jak intruz. – Widzisz?

W lesie panowała cisza, jedynie gdzieś nad nimi dało się słyszeć cichy szum – podobny do tego, który pamiętał znad morza. Krauze wytężył wzrok. Wśród niemal jednakowych drzew jedno się wyróżniało. Było największe. Górna część jego korony kołysała się leniwie pod wpływem wiatru. Wokół unosił się zapach żywicy. Podkomisarz czuł, że coś jest nie tak, ale nie wiedział jeszcze co.

– Chyba tak – wyszeptał.

– To właśnie tam – powiedział Sokołowski i ruszył w kierunku drzewa.

Podkomisarz ustawił odpowiedni punkt skupienia światła i skierował je na drzewo, które znajdowało się kilkadziesiąt metrów od niego. Położył dłoń na broni i dogonił prokuratora. W pewnym momencie Krauze dostrzegł coś, co kazało mu się zatrzymać. Nie miał pewności, czy dobrze widzi. Zmroziło go. Przystanął. Na drzewie znajdowały się dłonie. Obejrzał się za siebie, a potem na boki. Zachowanie, z którym człowiek się rodzi. Umiejętność, którą nabywa w trakcie doskonalenia odruchów. Badanie terenu, okolicy, ocena zagrożenia. Zrobił jeszcze kilka kroków.

– Chryste Panie, co to ma być? – wyszeptał, podchodząc coraz bliżej. Wciąż trzymał broń w pogotowiu. Czuł, jak jego ciało robi się coraz gorętsze.

W skroniach intensywnie pulsowała krew. Zmrużył oczy, by wyostrzyć pole widzenia, niewiele to pomogło

Pień oplatały ręce. Masywne męskie dłonie. Wyglądały jak sztuczne. Jak u manekina. Sine, nabrzmiące, wykręcone do tyłu. Popatrzył na ziemię, oszacował bezpieczną odległość, by nie zadeptywać śladów. Dłonie przybito do drzewa dużymi gwoździami. Krew wsiąknęła w korę.

Okrażył pień i wtedy ujrzał coś tak przerażającego, że aż nim zatelepało. Pobiegł kilka metrów dalej i wymiotował wczorajszą kolację. Poczul cierpki smak wymiocin. Posilek, który nie został jeszcze w całości strawiony, leżał teraz przed nim w postaci żółtej papki. Gdy skończył, wytarł usta i ręce w chusteczkę.

– Chryste, co to jest? Co się tutaj stało? – powiedział cicho, niemal szeptem, ale tak, by nikt go nie słyszał. Wziął kilka głębokich wdechów i wrócił na miejsce. Sokołowski się nie poruszył. Milczał, a jego milczenie było bardziej wymowne niż dziesiątki słów. Krauze poświecił na drzewo, zmieniając strumień światła, tym razem tak, by obejmowało całe ciało. I wtedy zobaczył to jeszcze raz, dużo wyraźniej. Przełknął głośno ślinę, choć nie był tego świadomy.

Napotkał wzrok mężczyzny w średnim wieku. Sokołowski się nie mylił. To było parszywe. To było gorsze niż wszystko, co widział do tej pory. Szczególnie głowa i to, co z nią zrobiono. Wywalony język. Z otworu gębowego wystawał duży gwóźdź, który przebił czaszkę na wysokości potylicy. Właśnie on utrzymywał ciało w tej pozycji. Wyglądało to jak prawdziwa egzekucja. Przytwierdzone do drzewa ręce, które opłatały masywny pień, głowa wysunięta do przodu – zupełnie tak, jakby ofiara była zmuszana, by patrzeć na swojego kata. Może za karę. Nogi rozstawione na szerokość kroku. Spomiędzy nich kilka godzin temu wyciekła ciemna ciecz. Mocz, przy tak silnym uderzeniu nie było to dziwne. Możliwe, że puściły mu również zwieracze, ale Krauze nie mógł teraz tego sprawdzić.

Krzywo przycięte czarne włosy, średniej wielkości małżowiny uszne, kształtny, choć trochę za duży nos. Killkudniowy zarost. Błada, wręcz kredowobiała twarz, wybałuszone oczy. Spojrzanie, które zastygło w agonii.

Krauze patrzył na ten odrzucający widok i nie był pewien, czy to, co widzi, jest jakimś żartem, doskonale wykonaną scenografią, czy prawdziwym morderstwem.

– Filip? – Krauze usłyszał swoje imię. Ale nie reagował, wciąż czuł się jak w transie. Jego mózg cały czas rejestrował obraz. Przyswajał go, układał w głowie, próbując zrozumieć, co tu się stało. Jak do tego doszło. Pytanie „po co?” wydawało się teraz mniej ważne. A może po prostu zbyt odległe. Znow usłyszał głos i to przywołało go do rzeczywistości.

– Filip, to jeszcze nie koniec.

– Co? – wyszeptał i spojrzął na Sokołowskiego, ale było zbyt ciemno, by mogli porozumieć się za pomocą gestów lub mimiki.
– Jak to nie wszystko?

– Chodź za mną – nakazał prokurator takim tonem, że nie dało się go nie posłuchać. Przeszli kilkadziesiąt metrów dalej. Po drodze musieli przeskoczyć następne wyżłobienie i ponownie wspiąć się na wzniesienie, bardzo podobne do tego, po którym tu trafili. Całe to miejsce kształtem przypominało naturalny lej, na którego dnie znajdowały się strumień oraz droga leśna. Sokołowski przystanął. Doszli do jednego z tysiąca takich samych wysokich świerków. Prokurator wskazał palcem na jeden z nich, sam zaś stanął w pewnej odległości, jakby nie chciał już dalej podchodzić. Przykucnął, czekając, aż Krauze dotrze do kolejnego znaleziska.

Podkomisarz poświęcił niepewnie na drzewo. Ujrzał dokładnie to samo, co przed kilkoma minutami, jakby zatoczyli koło. Jakby czas się cofnął i pokazał ten sam obraz. Stop. Przewinięcie. I znow start. Krauze nie mógł w to uwierzyć. Popatrzył na prokuratora. Ten tylko skinął głową.

Złożone na sobie dłonie przebito dużym gwoździem. Spod niego wypływała krew, która zdążyła już zakrzepnąć i stworzyć kolejną czarną linię, niczym brunatna żywica, która swoim kolorem symbolicznie oddzielała życie od śmierci, człowieka od natury, istnienie od nieistnienia.

Obszedł drzewo, starając się zachować odpowiednią odległość i niczego nie zadeptać.

W końcu przystanął. Próbował to ogarnąć, ale nie wychodziło mu najlepiej. Przez paręnaście lat pracy w policji widział wiele, ale nigdy nie widział przybitych do drzewa zwłok, które potraktowano z taką brutalnością. I jeszcze to miejsce... Gęsty las, po którym krzatali się policjanci wyglądający jak śnięte muchy zamknięte w słoiku. Jasnymi snopami światła próbowali porozbijać ciemność na kawałki, by wydobyć jakikolwiek ślad, który podpowie im, co się tutaj wydarzyło.

– Jurek, możesz mi łaskawie powiedzieć, o co tu chodzi? To jakiś żart? Mam się teraz zaśmiać, że wykręciliście mi taki numer? Miesiąc temu otrzymałem awans na podkomisarza, ale, do cholery, już świętowaliśmy. Napierdoliliśmy się jak dzikie węże, a teraz co? Poprawiny, dogrywka? Jakiś test, sprawdzian? Co jest?

Jerzy Sokołowski milczał. A milczący Sokołowski zwiastował złe wiadomości, bo na co dzień lubił dużo mówić. Krauze wy czuł, że nie doczeka się odpowiedzi. Gdyby prokurator miał coś do powiedzenia, już by się odezwał.

A więc teraz mój ruch, pomyślał Filip, choć wcale się tym nie pocieszył. Był zdany na siebie. Ściągnęli go tu w środku nocy i nie pomagali. Co za popierdolona sytuacja. Dobra, Krauze, powiedział do siebie w myślach, bierz się do roboty. Skup się. Od tego sporo zależy. Reszta wystawiła cię do wiatru, siedzą sobie, a ty musisz zapieprzać za nich. Potarł mocno twarz, by się rozbudzić, dodać sobie bodźców.

Zwłoki wyglądały tak samo. Sprawiały wrażenie lustrzanego odbicia tamtych pierwszych. Obaj zamordowani mieli na sobie stroje robocze: stare drelichowe spodnie, grubą flanelową koszulę. Identyczne szycie szwów i guziki. Dłonie – takie same. Palce również tej samej długości. Podobny układ uzębienia. Krótkie, ale krzywo ścięte włosy. Analizował każdy szczegół. Krauze nadawał się do roboty, w której należało dużo

zapamiętywać, porównywać, wyciągać wnioski oraz odrzucać błędne założenia. Od kiedy zaczął pracę w policji, wspinał się po szczeblach kariery jak mało kto w komendzie powiatowej. Naczelnik wydziału miał z nim sporo problemów, głównie za sprawą niewyparzonego języka, wyklócania się, narzekania na stary i skostniały system oraz biurokrację, która go potwornie irytowała. Wiele można mu było zarzucić, ale na pewno nie to, że nie przykładał się do śledztwa.

Uklęknął. Ten sam fason spodni. Naszywki na bokach, które przypominały lampasy, choć w istocie były zapewne tylko wzmocnieniem szwów. Ubranie typowe dla pracownika fizycznego. Solidnie wykonane, niemal niezniszczalne.

Najbardziej zaskakujący był fakt, że mężczyźni wyglądali identycznie. Nie mogło być mowy o pomyłce. Przyczyna śmierci również nie pozostawiała złudzeń. Gwóźdź wbity przez otwór gębowy przebił czaszkę i przytwierdził ją do drzewa. To na nim utrzymywało się ciało. Popatrzył na buty. Tu również nie dostrzegł różnicy. Typowe buty robocze. Na pewno pracowali przy wycinie drzew, co do tego nie miał wątpliwości. Wskazywały na to ich spracowane ręce, strój, drobinki trocin wczepione w ubrania, plamy po oleju powstałe podczas pracy z piłą motorową.

– Ale popieprzone – odezwał się. Nie po raz pierwszy miał przebłysk myśli, że to kukły. Dotknął ciała. Poczul pod palcami oporną miękkość, mimo stężenia pośmiertnego. Włożył lateksowe rękawiczki i spróbował ponownie. Nagle usłyszał obojętny głos Sokołowskiego:

– Też to robiłem. Ja również miałem wątpliwości. Takie same jak ty. Ale to się dzieje naprawdę. To są prawdziwe zwłoki, uwierz mi. Chyba każdy przed tobą to zrobił. Igor też. Trzeba będzie uprzedzić techników, że wszyscy wtykaliśmy palce w ciała zamordowanych, bośmy nie mogli się powstrzymać. Teraz już rozumiesz, dlaczego tu jesteś?

Polub nas
na Facebooku



KUP TERAZ



swiatksiazki.pl

POCZĄTEK CYKLU
Z PODKOMISARZEM FILIPEM KRAUZEM
I ASPIRANTEM IGOREM FIJAŁKOWSKIM

W jednym z dolnośląskich lasów ktoś morduje dwóch pracujących tam mężczyzn. Drastyczne obrażenia na ciele ofiar wskazują, że sprawca jest niezwykle brutalny i zdeterminowany. Kierujący śledztwem Filip Krauze z kłodzkiej policji nigdy dotychczas nie spotkał się z tak przerażającą zbrodnią. Jego uwaga koncentruje się na mieszkańcach małej miejscowości zatopionej w gęstych, mrocznych lasach, które zewsząd otaczają mgły i – wydawałoby się – coś jeszcze. Coś złego.

Nr 21000135

ISBN 978-83-8074-570-4



9 788380 745704



bukowylas.pl

Cena: 44,90 zł